

Miasto i miasto

Krzysztof Gottesman

Zgadaliśmy się niedawno z przyjaciółmi o wspomnieniach warszawiaków, którzy podczas wojny zostali wywiezieni na Syberię. By zabić tragiczny czas, wieczorami wspominali w barakach swoje miasto. Potrafili z przejęciem i miłością, numer po numerze, wymienić wszystkie sklepy, redakcje, restauracje i kawiarnie znajdujące się przy Marszałkowskiej, Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu, Moniuszki czy Mazowieckiej; trasy autobusów i tramwajów. Spróbowaliśmy tej zabawy. Pudło. Nic z tego nie wyszło.

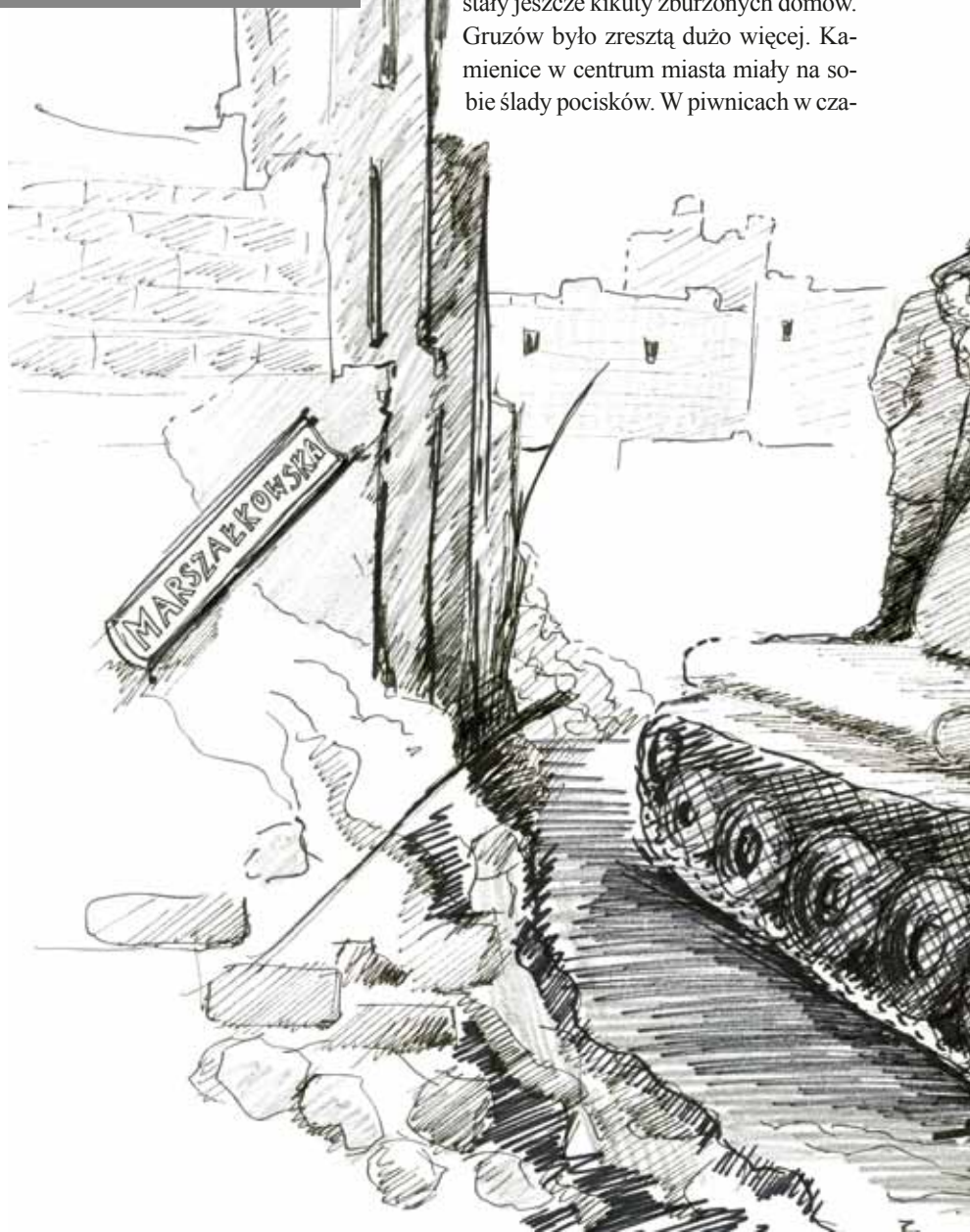
To prawda, była to zupełnie inna sytuacja. W ciepłe i dostatku, przy urodzinowym stole trudno było nawet udawać, że jest się na zesłaniu, rozmawia o utraconym domu i mieście, ze świadomością, że się tego miasta już pewnie nigdy nie zobaczy. Chodziło jednak jeszcze o coś więcej. Większość z nas, ja również, nie znalazła w sobie tych emocji, związków łączących nas z Warszawą. Mieszkamy tu od urodzenia już kilkadziesiąt lat, przeżyliśmy wiele dobrego i złego, ale to miasto nie weszło nam w krew tak, jak tamtemu pokoleniu.

Oni na zawsze zapamiętali, że Herbaczyński był przy Wilczej, Simon i Stecki przy Krakowskim pod 38, Lardelli przy Wierzbowej, a Instytut Propagandy Sztuki oraz kawiarnia Sztuka i Moda – przy Królewskiej pod 13 i 11. „Prosto z Mostu” – przy Książęcej, a „Wiadomości Literackie” przy Złotej. Pozostały na zawsze w pamięci adresy teatrów, kin, kabaretów. Zapamiętali nawet, że Fryderyk Jarossy mieszkał przy Noakowskiego pod 20, a także to, że aby wezwać prywatne pogotowie ratunkowe, należało wykręcić pięć piątek. Czuli to miasto, wraz nim wzrastali, co przejawiało się również w stosunku do Warszawy – radosnym, pełnym zabawy. Z takim podejściem spotykam się do dzisiaj u przedwojennych

warszawiaków. I co ciekawe, jest ono wspólne ludziom o różnym statusie materialnym. Nawet ci żyjący przed wojną skromnie – lub bardzo skromnie – mają w sobie jak najlepsze wspomnienia.

Warszawa moich znajomych i przyjaciół, a także moja, to zupełnie inna bajka. Mamy swoje ulubione miejsca, adresy ważne we wspomnieniach, gmachy, które wywołują szybsze bicie serca, ale nie mamy tego miasta we krwi tak jak oni.

Moja Warszawa, migawki, które mam w pamięci, jest natomiast bardzo mocno zakorzeniona w historii, a także polityce. Pamiętam, że gdy pod koniec lat pięćdziesiątych, jako bardzo małe dziecko, jeździłem z mamą tramwajem po Alejach Jerozolimskich, to po stronie północnej stały jeszcze kikuty zburzonych domów. Gruzów było zresztą dużo więcej. Kamienice w centrum miasta miały na sobie ślady pocisków. W piwnicach w cza-



sie rozmaitych zabaw znajdowaliśmy z kolegami rzeczy ukrywających się tam w czasie powstania ludzi. Wojna aż do lat sześćdziesiątych była częścią naszej codzienności. I nie chodziło tylko o propagandę władz, potępiających knowania zachodniemieckich odwetowców, jak wtedy mówiono. Wojna naprawdę tkwiła w ludziach. I to była moja pierwsza lekcja historii, w ten sposób po raz pierwszy niejako poznawałem Niemców.

Mieszkałem wtedy przy ul. Narbutta, nieopodal więzienia przy Rakowieckiej. Chodziliśmy z kolegami z podwórka na najwyższe piętro sąsiedniej kamienicy i z okna klatki schodowej patrzyliśmy na ceglaste pawilony, zakratowane i zablindowane okna, klatkę spacerniaka, w której poruszali się jednakowo ubrani

więźniowie. Nie wiem, jak to się stało, czym było spowodowane, ale widzieliśmy w nich ludzi pokrzywdzonych przez władzę. Nie morderców, złodziei, kanciarzy. Uważaliśmy, że zła władza ich przesładuje. I dlatego, gdy pracowali na torowisku ulicy Puławskiej, rzucaliśmy im z tramwaju dziesiątki sportów – małe podłużne paczuszki najtańszych papierosów. To był koniec lat pięćdziesiątych, początek sześćdziesiątych. Można było wówczas spotkać ludzi, którzy wcale niedawno wyszli z więzień za przestępstwa polityczne, widać było też szczęśliwców, którym udało się wyjechać ze Związku Radzieckiego w ostatniej akcji repatriacyjnej. To był kolejny etap mojej edukacji warszawskiej i historycznej. Warszawa, Sowietci, komunizm.

Kolejne etapy przychodziły z wiekiem. I coraz silniej wiązały się z polityką. Jak wtedy, gdy jako uczniowie podstawówki stawaliśmy na warcie głównie w miejscach, gdzie alowcy dokonali zamachów na Niemców. Tradycja Armii Krajowej, Polskiego Państwa Podziemnego, nie mówiąc już o powojennym podziemiu, była obecna ofi-

cialnie tylko w bardzo, bardzo dalekim tle. Tak jak pamięć przedwojennej żydowskiej Warszawy i getta. Tym bardziej nas więc ciekawiła i wciągała. Na własną rękę szukaliśmy po mieście jej śladów – tablic w kościołach, nagrobków

na Powązkach Wojskowych. Wielkie wrażenie robiły daty śmierci z przelomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych i tylko symboliczne groby. Szukaliśmy napisów i szyldów na domach, gazet w bibliotekach.

Do obowiązkowego szkolnego rytuału należały także wówczas – w latach sześćdziesiątych – powitania ważnych osobistości przyjeżdżających do Warszawy. Breżniew, Gagarin, również de Gaulle, szach Iranu Reza Pahlawi i inni przejeżdżali przez miasto między szpalerami złożonymi także z kilku- i kilkunastoletnich dzieci, trzymających transparenty z napisami „Warszawa miasto pokoju wita”. Goście mniej oficjalni i chłodno widziani przez władze, jak np. Robert Kennedy, byli witani przez warszawiaków spontanicznie i serdecznie. O trasie przejazdu i punktach programu dowiadawano się niezawodną pocztą pantoflową.

Były też bardziej bezpośrednie, i już na poważnie, warszawskie kontakty z dziejącą się na ulicach historią. Po raz pierwszy chyba w marcu 1968 roku. Ciekawość zaprowadziła mnie na Krakowskie Przedmieście pod uniwersytet. Kłęby dymu, biegający z pałkami cywile i milicjanci, chowający się po bramach ludzie, w połączeniu z wiadomościami z domu, zrobili na mnie, uczniu szóstej, a może siódmej klasy szkoły podstawowej, wstrząsające wrażenie.

17 stycznia obchodzimy w stolicy rocznicę wyjątkowego wydarzenia. Tego dnia w 1945 roku do Warszawy weszli Armia Czerwona i żołnierze Berlinga. Wyzwolili miasto – a właściwe resztki, które z niego zostały – od Niemców. I zaczęli siłą wprowadzać własne porządki.

Gdy wspominaliśmy warszawiaków wywiezionych na Syberię, mówiliśmy także o 17 stycznia. Zastanawialiśmy się, czy można tę datę porównywać z 11 listopada 1918 roku. Tu – myślę – tkwi tajemnica chłodu, który panuje między mną a moim miastem. ❄️

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



Rys. A. Szafrański